NUMER 38. DNIA 21-go WRZEŚNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

W KWESTJI MORSKIEGO OKA, TATR POLSKICH i ZAKOPANEGO.

II.

Druga zasadnicza kwestja dotyczy Zakopanego, jego roli w społeczeństwie i Ojczyźnie polskiej.

Dawniej, przed laty rola Zakopanego nie nasuwała żadnych wątpliwości. Zakopane było pod każdym względem znakomitem latowiskiem, w którem nieliczni cierpiący znajdowali upragnione zdrowie, a liczniejsi zdrowi, lecz wyczerpani denerwującem życiem miasta, dostatni wypoczynek i świeżość w górskiem powietrzu, emocję w trudach, rozkosze w widokach tatrzańskich wycieczek. Nieliczni — bo tylko kilkaset letników bywało za owych czasów — nie naruszyli pierwotnego charakteru podhalskiej osady, w Tatrach brak ścieżek i schronisk utrudniał wyprawy.

Jakże wiele zmieniło się od owych czasów? Pierwszym donioslym faktem w rozwoju Zakopanego i dostępności Tatr, było założenie polskiego Towarzystwa tatrzańskiego w r. 1874, którego działalność, chlubna i ruchliwa, mimo niedostatecznego poparcia ze strony społeczeństwa, widoczną jest w każdym zakącie Tatr nietylko polskich, ale też węgierskich.

Drugim, bezpośrednio jeszcze skuteczniejszym faktem było otwarcie kolei podkarpackiej i tatrzańskiej stacji Chabówka w r. 1885.

Liczba gości zakopańskich podskoczyła ododrazu do 1 ½ tysiąca, a w kilku latach przekroczyła już 3.000 osób.

Ten gwałtowny napływ gości do osady, prawie zupełnie na to nieprzygotowanej, wywołał rozliczne ujemne objawy, dotyczące zarówno hygienicznej strony rozrastającego latowiska, jakoteż spowodował drożyznę, którą przesadna, jak zwykle, wieść potęgowała do skłamanych, a olbrzymich rozmiarów. Istotne złe i jeszcze gorsza opinja mściły się na Zakopanem w ostatnich dziesięciu latach stulecia; wzrost też liczby gości był bardzo powolny i osiągnął z końcem wieku zaledwo liczbę 5.000 osób.

To zło, które odrazu z całą siłą z otwarciem kolei podkarpackiej wystąpiło, nie było dla świadomych niespodzianką. Dzięki usilnym staraniom różnych miarodajnych czynników, zostało też Zakopane już w r. 1886 ogłoszone stacją klimatyczną. Fakt ten nietylko podniósł urok Zakopanego, ale przedewszystkiem, powołana tem samem do życia, nowa instytucja komisji klimatycznej, miała ułatwić wygodny i hygieniczny pobyt coraz liczniej ze wszech stron napływającym w Tatry gościom. Komisja klimatyczna, stosownie zorganizowana, miała skutecznie zastąpić dotychczasową działalność Towarzystwa tatrzańskiego w samem Zakopanem, a także i funkcję Rady gminnej, które to instytucje z każdym dniem stawały się wobec coraz zwiększających się agend, zupełnie bezsilne.

Komisja klimatyczna w pierwotnej swej formie organizacyjnej, była jednak władzą i zasadniczo mało różną od Rady gminnej i posiadającą tak słabą siłę egzekucji swych zarządzeń, że wnet, uznając jej ujemne strony, a nie oglądając się zgoła na możność poprawy złego, zaczęto żądać ze wszech stron, ba nawet ze strony Towarzystwa tatrzańskiego, wprost zniesienia stacji klimatycznej, a przeto i odnośnej komisji w Zakopanem, instytucji, o którą, póki jej nie było, długie lata natarczywie kołatano!

Komisja klimatyczna tymczasem, mimo licznych, tak słusznych, jak i bezrozumnych, a przedewszystkiem egoistycznych ataków, utrzymała się przy życiu, ba postarała się o zbawienne przeobrażenie swej organizacji i w ostatnich latach, gdy wreszcie na czele tej instytucji stanął lekarz, gdy egzekucyjną władzę przydzieleniem jej rządowego komisarza wzmocniono, stała się „klimatyka“ podwaliną rozwoju naszego najruchliwszego latowiska, naszej letniej stolicy.

Nie ochroniło to wszakże „klimatyki“ od dalszych, gwałtownych, a ze szczególną energją zorganizowanych napaści.

Teraźniejsza walka ma jednak charakter najzupełniej osobisty, skierowaną jest w pierwszej linji przeciwko lekarzowi stacji, ktokolwiek nim jest, tak, że sądzić należy i prawdopodobnie bez wielkiego błędu, że „bagno“ rozporządza kandydatem na lekarza, więc dotychczasowy, ktokolwiek nim jest, musi być wygryziony. (Patrz artykuły: „Bagno“ St. Witkiewicza w „Przegl. Zakopiańskim“, zeszyty sierpniowe).

Sposób walki przeciwko całej warstwie, reprezentującej polską umysłowość, szczytnie pojętą, a która popiera cele i dążenia klimatyki, jest w najwyższym stopniu wstrętny.

Te zakamarkowe podjazdy nie budziłyby ogólniejszego interesu, gdyby one tyczyły tylko osób, a nie miały wpływu na losy Zakopanego. Niestety, tak nie jest.

Tymczasem stosunki Zakopanego uległy ogromnemu przeobrażeniu. Kolej żelazna dotarła pod same Tatry — to pierwszorzędne zdarzenie, a w ślad za tem zasiało się Zakopane setkami nowych i uroczych wil, setka pensjonatów stanęła, wystawne sklepy, restauracje, cukiernie, hotele, sale balowe i teatralne, uczyniły Zakopane i zewnętrznie podobne do letniej stolicy Polski.

Tym razem przedsiębiorcy zostali jednak w swych nadziejach sowitych zysków wnet zawiedzieni. Wprawdzie liczba gości zaraz z pierwszym rokiem po otwarciu kolei podskoczyła gwałtownie do 8.000, ale pociągnęła w następstwie taką drożyznę, że już tego roku nastąpiła dotkliwa reakcja. Lista gości tegoroczna wskazuje, co prawda, znowu wzmożoną frekwencję (od 9.500—10.000 osób), ale charakter gości tegorocznych odbiega znacznie od dotychczasowych, to nie są letnicy, lecz przeważnie tylko kilkodniowi „przelotnicy“ — turyści.

Cóż wpłynęło na owo, tak dotkliwe dla Zakopanego przeobrażenie.

Dwie są tego przyczyny, a jedna i to pokaźna, tkwi w zakopiańskiem „bagnie“. Klimatyka z wzrostem napływu gości, ma coraz trudniejsze zadanie do spełnienia; asanacja tego latowiska ma do walczenia już nietylko z brakiem wszelkich urządzeń, z konserwatyzmem górali, oszczędnością właścicieli, lecz z niesumiennością kupców i dostawców żywności, a to wszystko na wielką skalę, gdyż chodzi o zaopatrzenie w żywność etc. 10.000 przybyszów ze wszystkich stron Polski i świata.

„Bagno“ zakopiańskie o to się nie troszczy. W walce osobistej, nie przebierając w środkach, przeszkadzając planom i robotom asanacyjnym lekarza stacji, wprowadziło „bagno“ z konieczności dyskusję nad stanem Zakopanego na widownię publiczną.

Społeczeństwo dowiedziało się z drastycznie prowadzonej dyskusji, przesadnie malowanej prawdy, że jest tam: obfity pył ulic zakopańskich, pełen gruźliczych laseczników, powietrze zatrute chorobotwórczymi zarodkami i wyziewami, studnie mają wodę zmiennej, a często szkodliwej jakości itp. Gromy padały w dyskusji na obraz dobrej dotąd sławy Zakopanego. Nie można wątpić, że ta dyskusja zrobiła swoje i wzbudziła popłoch, który się objawił w przewadze przelotnych gości. Ta zła opinja o hygienicznej i klimatycznej wartości Zakopanego, to tylko jeden współczynnik ostatniego zwrotu w rozwoju tego latowiska. W tym samym kierunku działała opinja, dotycząca drożyzny, a przedewszystkiem kolej, która dopiero umożliwiła „przelotnikom“ wstęp do Zakopanego na krótkotrwały pobyt wycieczkowy.

A teraz spróbuję ocenić krytycznie rolę tych opinji, skąd wyniknie pogląd, co prawda, osobisty na przyszłe losy rozwoju Zakopanego.

Przedewszystkiem nie ulega wątpliwości, że dla Zakopanego minęły czasy, w których ono odpowiadało wymogom znakomitej miejscowości klimatycznej, do której nietylko neurastenicy i sercowi, rekonwalescenci, piersiowi i inni cierpiący po pewną poprawę swego zdrowia na Podtatrze dążyli.

Taką stacją klimatyczną było Zakopane przedewszystkiem wtedy, gdy się jeszcze stacją klimatyczną nie nazywało. Wprawdzie klimat się nie zmienił — powietrze zatrzymało swą górską lekkość i świeżość, wzmożonego działania promieni słonecznych pył zakopańskich ulic nie przyćmił, ale 10.000 obcych, rozrzuconych po wielkiem Zakopanem, ale postłaczanych w kilku względnie ciasnych ulicach, żyje i produkuje bakterje chorobotwórcze, a 300 budek i doróżek pędzi ciągle po Zakopanem, łącząc kilka odległych kompleksów gęsto stojących domów i podnosi mimo wszystko tumany kurzu, wciskające się wszędzie i wszędzie.

Minęły te czasy (badania Kryńskiego w r. 1891), gdy na Chramcówkach powietrze zawierało 350, a na Krupówkach 1000 bakteryi w 1 metrze kubicznym; ja wierzę, że jest ich teraz w pełni sezonu 10 razy więcej i inaczej być nie może.

Tak, jak wierzę w owo względne zatrucie powietrza a, do pewnego stopnia, i wody Zakopanego, tak też wierzę, że przeprowadzenie asanacji, planowanej przez klimatykę, może do pewnego stopnia te ujemne strony złagodzić; kanalizacja i wodociągi, przeprowadzenie ustawy budowlanej i ścisły nadzór lekarski mieszkań, zdoła zrobić dużo, ale nie zrobi wszystkiego.

Zakopane nie da się uregulować, wszak to jedyna miejscowość klimatyczna bodaj na świecie, która chociaż ma tylko 3, powiedzmy, 5 głównych ulic, zajmuje 20—30 km.^{2} powierzchni; jak tu taką przestrzeń regulować, gdy góral sobie liczy wartość gruntu po miejsku, ba szuka miernika wartości w gruncie stolicy. Dla chorych Zakopane już nie jest, chorzy, zwłaszcza piersiowi, niech się chronią do sanatoryów, lub odległych zakątków, lub niech jadą w zimie, która i pod względem klimatycznym jest więcej odpowiednią porą roku, niż często wilgotne i zmienne lato. Mimo tego stanu rzeczy walka przeciw klimatyce, teraz przeważnie osobistej natury, jest z gruntu zgubną dla Zakopanego, a twierdzenie, że klimatyka dąży do niedoścignionego celu: Zakopane — uzdrowisko dla chorych, a przeciwnicy klimatyki chcą wytworzyć z Zakopanego latowisko dla zdrowych, jest z gruntu fałszywe. Jest bowiem pewnem, że gdyby Zakopane pozbawiono opieki i kontroli klimatyki, zostałoby oddane na pastwę świadomym wrogom osób, składających komisję klimatyczną i tym wszystkim przedsiębiorcom napływowym, czy lokalnym, którym zarzadzenia klimatyki nie są dosyć wygodne; hygjeniczne warunki Zakopanego musiałyby spaść poniżej najskromniejszych wymogów i już, nie tylko jako uzdrowisko, ale nawet jako latowisko, musiałoby Zakopane uledz ruinie.

Dziś, a zwłaszcza w najbliższej przyszłości, gdy klimatyka, żywotna dostatecznie, mimo zaciekłych osobistych ataków „bagna", przeprowadzi najdonioślejsze dzieła, jak wodociągi i kanalizację, przedstawia Zakopane w każdym razie dla zdrowych, dzięki przyrodzie Tatr, najwspanialsze latowisko; pragnący cichego spokoju, czy hucznej zabawy, umysłowej rozrywki, czy gruntowej nauki, a przedewszystkiem wrażeń estetycznych, jakich tylko wszechpotężna przyroda udzielić może, znajdą w Zakopanem zawsze najwyższe zadowolenie.

Inna kwestja, czy Zakopane będzie się nadal, jako latowisko, skutecznie rozwijać; do pewnego stopnia należy o tem powątpiewać. Zakopane będzie miało niewątpliwie zawsze wiele stałych letników, a to zwłaszcza tych, którzy wypoczynek umysłowy widzą w turystyce, owej pracy fizycznej, tak sowicie wynagradzającej trudy wzruszeniami estetycznemi, a hartującej zarówno ciało, jak ducha. Tysiące innych, niepojmujących niestety, doniosłości turystyki, będzie szukało letniego schronienia w licznych pobliskich osadach, już nie mówię, w najmniej może do tego stosownym Poroninie (co prawda, teraz najsilniej z powodu sąsiedztwa Zakopanego uczęszczanym), ale bądź to w Czarnym Dunajcu, Nowym Targu, z jednej strony, a w Witowie, Kościeliskach, a przedewszystkiem w Jaszczurówce i Bukowinie, z drugiej strony. Wspaniała, może aż nazbyt wspaniała droga do Morskiego oka (przez Waksmundzką byłaby mniej piękna, ale o $1/3$ część krótsza i tańsza), da niewątpliwie sposobność do założenia nowych latowisk (Głodówka, Zazadnia, Łysa Polana, może nawet Roztoka). Zakopane, będące kluczem do najliczniejszych dolin tatrzańskich, posiadające najlepszą i najgęstszą sieć sztucznych dróg, stanie

się tem bardziej Lucerną Tatr polskich, ogniskiem turystyki, która, acz zwolna, zyskuje coraz więcej i więcej, choć przeważnie szablonowych turystów. Wielki wpływ wywarła droga do Morskiego Oka, która, choć wielokrotnie powiększyła liczbę zwiedzających tę perłę jezior tatrzańskich (koło 15.000 osób rocznie), natomiast z pewnością pomniejszyła liczbę turystycznych przepraw przez Tatry, mimo, że, dzięki ścieżkom wygodnym, mostkom, a zwłaszcza klamrom, w skały wkutym, a z drugiej strony dzięki licznym schroniskom we wnętrzu Tatr — wszystko dzieła Towarz. Tatrzańskiego — zostały te wycieczki i wyprawy turystyczne dostępne najsłabszym. Niepodobna pominąć milczeniem przewodników tatrzańskich, którzy wcale nie zasługując na fałszywą opinję, są skromni w wymogach, a sprytni i bystrzy, tędzy, wierni, uczciwi i ponad wszystko weseli.

Może nie od rzeczy będzie świadectwo, które im wydam, ilustrując dwoma przykładami z dwukrotnego mego w Tatrach pobytu.

Przed 20 laty, gdy Tatrom brakowało jeszcze wszelkich udogodnień w przeprawach, szedłem w towarzystwie starszego Węgra, który gór nigdy nie widział, przez Zawrat do Morskiego Oka; osłabłego na Zawracie Węgra zawlókł przewodnik na własnych barkach aż do celu (5 godzin drogi).

Nie mniej drastycznej tęgości i sumienności przewodnika byłem świadkiem na Świernicy. W towarzystwie mojem była młoda panna, o której zupełnie nie wiedziałem, że jeszcze żadnej wycieczki w Tatrach nie robiła, przeciwnie byłem w błędnem mniemaniu, że już była obeznaną z Tatrami. Wybrałem względnie najprzykrzejszy tor na Świnnicę, bo przez Nowy Zawrat. Okazało się już w drodze, że moja towarzyszka cierpi na zawrót głowy, na który — niestety jakie 2 godz. do szczytu a 1 1/2 godz. z powrotem — musiała być ustawicznie narażoną. Przewodnik kierował każdym jej krokiem, i nie przesadzę, gdy powiem, że ją wyniósł na Świnicę i zniósł do Stawów Gąsienicowych.

Nietylko wtedy, gdy przewodnik tatrzański życie gwarantuje, — zawsze jest on znakomitym towarzyszem turysty; w najwyższym przeto stopniu należy przestrzegać przed dziwnym obłędem, grasującym zwłaszcza między niedorostkami, zapewne za przykładem zawodowych turystów tatrzańskich, którzy często gęsto uważają współudział przewodników za zbyteczny.

Dla owej zawodowej turystyki, która w zbadaniu najtajniejszych zakątków Tatr już ma zasługi, i niewątpliwie więcej ich zdobędzie, żywię szczery szacunek, może nawet podziw i zazdrość, ale sądzę, że wprowadzanie dla już nazwanych szczytów nowych nazw, a zwłaszcza nazw osobowych (Marta, Antonina, Englisch itp.) jest w wysokim stopniu rzeczą niestosowną i naganną. Wydanie wspaniałej mapy Tatr przez Towarzystwo tatrzańskie da kres tym wybrykom, a uczyni je w przynajmniej nieszkodliwymi.

W kwestji turystyki wogóle, a zwłaszcza jej stanu teraźniejszego w Tatrach i środków do jej ożywienia radbym niejedno podnieść, ale brak czasu, niestosowność miejsca, wreszcie liczne w tym względzie uwagi, notowane w „Przegl. Zakopiańskim" i „Giewoncie", zwłaszcza artykuły z ankiety turystycznej uwalniają mię do pewnego stopnia z tego zadania. Pragnąłbym tylko jeszcze raz przypomnieć społeczeństwu kwestję kolei na Świnicę, a względnie na przełęcz u jej stóp; kolej ta będzie niewątpliwie daleko donioślejszym czynnikiem rozwoju ruchu tatrzańskiego, aniżeli droga do Morskiego Oka. Doprowadzenie kolei do Hali Gąsienicowej miałoby wielkie znaczenie, ale zawsze byłaby to tylko mała cząstka w porównaniu do doniosłości pierwszego projektu inż. Dzieślewskiego. Wydano srogie pieniądze na zbyteczną drogę do Morskiego Oka, rozrzutne sumy na elegancką i wieczną, co prawda, regulację potoku Bystrej, która nie czyniła nigdy dotkliwych szkód, niechże odpowiednie czynniki wspomogą przedsięwzięcie i pożyteczne, a przedewszystkiem, przynajmniej do pewnego stopnia, napewne rentowne.

Jeszcze słów kilka na zakończenie o rzekomej drożyźnie Zakopanego.

Opinja ta jest pozbawioną wszelkiego gruntu, a w każdym razie jest bardzo niedokładną. Zakopane jest największą miejscowością letnią Polski, jest jej letnią stolicą, a jako w takiej, są wszystkie skale życia możliwe, Tam niema szablonu cen; od najdroższych i zbytkowych do najtańszych i skromnych, wszystkie są możliwe. Ujemną stroną Zakopanego jest to, że niema cen stałych. Z licznych smutnych, a i śmiesznych doświadczeń, podaję jedno. Już podczas mego pobytu potrzebowałem pokoju na dni 15; z licznych wolnych wybrałem ze wszechmiar wygodny dla mnie, miły i schludnie umeblowany

pokój; cena jego wynosiła 60 koron. Że jednak nie miałem pospiechu, o czem powiadomiłem właścicielkę willi, przeto odstąpiła mi go za koron 20 (wyraźnie: dwadzieścia). Życie w Zakopanem jest, na galicyjskie stosunki, wprost nadzwyczaj tanie; prowadząc gospodarstwo, wypada koszt utrzymania jednej osoby na 1·3—1·5 kor. dziennie, a bardzo wykwintny wikt z mieszkaniem i wszelkiemi wygodami, otrzymać można w licznych pensjonatach już za 5 koron. Są to przeto stosunki ze wszechmiar zadowalające i powinny wszystkich jak najżyczliwiej usposobić dla Zakopanego.

Dr. Eugeniusz Romer.



EMMA JELEŃSKA

8)

Z MIŁOŚCI.

Ach, co ja przeżyłam w tę godzinę! Gdy wyjechaliśmy na dworzec, wprost nie miałam odwagi spojrzeć przez okno.

Koło mnie tłoczono się, ściągano paczki z siatek, rozpychano się i narzekano — a ja stałam z oczami zamkniętemi, zmrożona do szpiku kości. Aż ktoś mnie popchnął, zachwiałam się i oparłam o okno, a w tej chwili zobaczyłam jego, stojącego na peronie i szukającego oczami w tłumie. Ach, to szczęście... to szczęście! Dostrzegł mnie. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Trwało to sekundę tylko, ale taka jasność była w jego oczach, w jego uśmiechu, że wdzięczna mu za to będę przez życie całe.

I znów jesteśmy razem. I nic złego się nie stało. Bogu dzięki! — jak mówi ciocia.

Owszem, dobrze się stało. Bo ja podczas tej długiej nieobecności porozumiałam trochę, i zdaje mi się, że teraz będzie nam lepiej, niż dawniej. Tak, z pewnością! Najprzód, wiem jeszcze pewniej o tem, że on mnie kocha. Czuję tę miłość jego w sobie jeszcze wyraźniej, głębiej. Jak mnie kocha? Czy tak samo, jak ja jego? O to mniejsza. Kocha mnie tak, jak umie i może najlepiej.

A ja wiele rozmyślałam, zastanawiałam się nad sobą i nad obowiązkami swemi. Tak, tak! właśnie nad obowiązkami. Dotąd za mało o nich myślałam. Ciocia — chociaż czasami mnie niecierpliwi swemi pojęciami *de l'autre monde* — ale naprawdę jest najlepszą i może najrozumniejszą kobietą na świecie. Otóż ciocia dużo ze mną mówiła o tem, i w wielu rzeczach ma rację. O, gdybym mogła być do niej podobną!

Biedna ciocia! Jak ona wiele w życiu przecierpiała! A jak cicho, jak dyskretnie! przecie niktby się nigdy nie domyślił, że ona nie była zupełnie szczęśliwą. Wyznała mi to teraz i to, broń Boże, nie skarżąc się na męża, ale tylko dla tego, żeby mnie przekonać, iż nie należy szukać własnego zadowolenia w małżeństwie, ani wogóle w życiu, bośmy nie na to stworzeni; że jedno jest ważne — spełnienie woli Bożej, jakąkolwiek by ona była; że gdy człowiek dojdzie do tego, iż szczerze tego jedynie szuka i pragnie, a o doczesne swe szczczęście nie dba, to wszystko zaraz przybiera inny wygląd, na wszystko inaczej się patrzy — a zwłaszcza, patrzy się więcej w siebie, a mniej w innych. I wtedy, nagroda jeszcze w tem życiu przychodzi, i powoli, powoli — zjawia się szczęście.

Ach, ciociu droga, ciociu najlepsza! To wszystko bardzo ładnie. Ale czyż podobna, aby kobieta młoda, kochająca — nie święta, ale zwyczajna, normalna kobieta,— tak odrazu, wstępując

w życie, wyrzekała się szczęścia, aby tak na progu domu małżeńskiego abdykowała z marzeń, z rojeń całego panieńskiego życia, z wymagań serca, z popędu każdej ludzkiej istoty, która drży do szczęścia? Czyż podobna, aby szła zamąż jak na krzyżową drogę? Aby dusiła w sobie krzyk duszy, wołającej o swoje prawa, aby nic innego nie zamajaczyło jej przed oczami, jak tylko zimny obowiązek?

Tylko wtedy zdobywa się spokój duszy — mówi ciocia — i przychodzi szczęście. Zapewne nie to ziemskie, pełne utrapień i zawodów, ale to zupełne, prawdziwe, w którem nawet i strapienia zamieniają się w ciche rozradowanie.

Moja ciociu, to są okropne rzeczy. I ja wiem dobrze, że nigdy się nie wzniosę do takich wysokości — bo ja do doskonałości nie mam żadnej pretensji!

A jednak, trochę racji ciocia ma, że w małżeństwie trzeba najprzód starać się spełnić swój obowiązek, a wtedy dopiero myśleć o swojem szczęściu. A robi się zwykle naodwrót. Ale ja teraz dużo nad tem myślałam, i postanowiłam być dobrą — ach, taką dobrą żoną, że Karol jeszcze więcej będzie musiał mię kochać.

2. Maja. Ludzie często używają wyrazu: powołanie, a dla każdego wyraz ten co innego oznacza. To śliczne słowo! Dla mnie powołanie — to ten głos, co od dzieciństwa mówił mi w głębi serca: zakochasz się, będziesz matką. To ten głos, co rósł razem ze mną, potężniał i parł mię naprzód, i wreszcie zawołał we mnie: kochaj tego człowieka! bądź jego do grobu! To ten głos, na który się czasem i w nocy zrywałam, bo słyszałam, jak wołał na mnie: idź, śpiesz się, wypełnij przeznaczenie! Powołanie — to ta ręka, co mię wiodła przez młodość, aż przywiodła przed ołtarz i obrączkę ślubną włożyła mi na palec. A teraz powołanie — to ta droga, na którą wstąpiłam i która leży przedemną prosta i wyraźna. Chodzi tylko o to, aby z niej nie zbaczać, a iść do końca — i wtedy powołanie się wypełni.

12. Maja. Wróciliśmy do dawnego, normalnego naszego życia. Karol cały dzień zajęty, bardziej niż kiedykolwiek. A ja — bezczynna samotna. Postanowiłam jednak pożytecznie czas spędzać. Bardzo pilnie zajmuję się mojem gospodarstwem — porządnie u nas i czysto, jak niemożna bardziej. Nawet bieliznę szyję. Praktyczna jestem do najwyższego stopnia. Gram też dużo. Karol lubi muzykę — może przyjemnie mu będzie posłuchać czasem.

W każdym razie, chcę być zadowoloną i wesołą. Bo ciocia mówi, że to w żonie pierwsza i konieczna zaleta. I pewnie, że dla męża miło jest, wróciwszy do domu, znaleść uśmiech, a nie chmury na czole. Oni to ccnią — a nie dość się na tem znają, aby dostrzedz, że te uśmiechy są czasem na gwałt robione.

20. Maja. Ciocia mnie mówiła, abym przez cały miesiąc chodziła na nabożeństwo majowe, i modliła się do Najświętszej Panny na intencję, ażeby nam Pan Bóg zesłał dziecinę.

Ach! mieć takie małe, wrzaskliwe stworzonko, któreby w kołysce nóżętami przebierało, a parskało i brykało w kąpieli, a czepiało się obu rączkami piersi, i ssało z niej życie — któreby mną było, mną żyło, któreby zasypiało mi w ramionach, bawiło się na moich kolanach, rosło tuż przy mnie i plątało mi się pod nogami i mówiło: Matko — matuś — mamusiu! Ach, mieć takie stworzonko!

Mój Boże... i cóż tam tak osobliwego! Czyż ja pragnę jakichś nadzwyczajnych rzeczy? Chodzi tego po świecie tak wiele! Rodzi się to wszędzie proszone i nieproszone, wyrasta niewiadomo skąd, wyłazi z najciemniejszych suteren, z najciaśniejszych zakamarków, i rozsypuje się, rozbiega, rozlatuje po świecie, rozkwita na każdym kroku habrami ocząt i płomykami złotych główek — i rozbrzmiewa szczebiotem i śmiechem.

I teraz, gdy to piszę, słyszę z ulicy na dole wzbijające się ich cienkie głosiki. Całe stadko bawi się tam na słońcu. Jedna z matek, piekarka, siedzi na progu swego sklepiku. Jeden z ojców, stróż, zamiata chodnik. I raz wraz któreś się odezwie: „Bolek nie zagabaj! Marylka, gdzie idziesz? a patrzaj za Władkiem! Anciuka, nie ruszaj — bo dam..." A głosiki szczebiocą — szczebiocą. A nóżki tupią po chodniku.

A ja? Boże mój, Boże! A ja...

Ja siedzę w eleganckiem mieszkanku — ładnie tu, czysto, świeżo — pełno kwiatów. Książek dostatek jest, i wygoda, i komfort. Jest młodość zdrowie i miłość.

Ale jestem samotna — i niepotrzebna. Niema nikogo, na całym szerokim świecie, komubym była niezbędną. Bo i Karol żył bezemnie tyle lat, że gdyby mu mnie zbrakło, toby się smucił pewnie, bo mnie kocha, ale wkrótceby zapomniał

i znalazł sobie inną. A chociażby i nie zapomniał i nie szukał innej, to w każdym razie, on mnie nie potrzebuje. Ja w jego życiu jestem konfiturą, ananasem, szampanem — ale nie powszednim chlebem. A dla mojego dziecka byłabym właśnie chlebem — koniecznością, bez której niema istnienia.

Chodzę codziennie na nabożeństwo majowe...

5. Czerwca. Maj się skończył, a jednak...

Zaczynam być śmieszną, bo ta myśl wyradza się już u mnie w *idee fixe*. Ciągle coś obliczam, kombinuję — ciągle o tem upragnionem myślę. A przecież, tak wiele kobiet nie ma dzieci — i nic. Żyją, śmieją się, są szczęśliwe, zadowolone. A nawet są takie, które powiadają, że wcale dzieci nie pragną. Może i mnie tylko się wydaje — może to taki fałszywy apetyt. A gdybym miała, tobym czegoś innego pragnęła. Czy ja wiem!

Tymczasem, całe lato spędzimy w mieście. Karol ma dużo zajęcia, że wyjechać nie może. Kogoś broni, coś pisze, jakieś domy buduje. Ja zaś na tem wszystkiem najgorzej wychodzę, bo go prawie nie widuję. Wychodzi zrana po śniadaniu, i wraca aż na obiad, i to zwykle spóźniony, ledwie zje, prędko wypala papierosa, wypija kawę i zamyka się w swoim pokoju. Co tam robi — to interesantów przyjmuje, to wertuje jakieś olbrzymie tomiska, to czasem wychodzi — i tak trwa do herbaty.

Próbowałam wyciągnąć go na spacer, bo doprawdy taka forsowna praca może mu na zdrowiu zaszkodzić — ale gdzie tam! Nigdy nie ma czasu.

Idę więc sama do ogrodu, posiedzę trochę — i wracam. A on wciąż ślęczy przy biurku.

Wreszcie, wieczorem, po herbacie zasiadam na balkonie — wołam go, aby odetchnął trochę świeżem powietrzem. Przyjdzie, pokręci się trochę i znowu do siebie ucieka. I już dobrze śpię, gdy on się kładzie. Nie wiem doprawdy, co on tam ma do robienia, bo z początku tak nie było. No, i ma się rozumieć, że jest tem zmęczony. Uważam, iż zmizerniał nawet.

A ja spędzam te długie, nieskończone dnie bardzo samotnie. Staram się je wypełnić przeróżnemi zajęciami: czytam, gram dużo, szyję, trochę maluję, ale to wszystko takie nikomu na nic nie potrzebne. To też postanowiłam zrobić coś pożytecznego i wziąć do uczenia dwoje dzieci tej biednej praczki, co pod nami mieszka w suterenie. Przynajmniej komukolwiek na coś się przydam. Są kobiety, które w dobrych uczynkach znajdują tyle pociechy! Może i ja...

(C. d. n.)

Solomos, nowogrecki poeta.

Aleksander Wielki rozszerzył już grecką mowę na całym obszarze swego olbrzymiego państwa, filozofowie uczyli jej w Rzymie w czasach Marjusza i Sulli, indyjscy bramini greckich studjowali pisarzy, Egipt i Syrja stały się krajami helleńskimi. Zwycięzców swoich panami stali się Grecy za rzymskiego cesarstwa, ich mowa jeszcze dziś jest wszechwładną na wschodzie.

A jednak uległa ona prawom ogólnej ewolucji. Różnica między językiem staro- i nowo-greckim jest mniejsza wprawdzie, niż między językiem łacińskim a włoskim, ale zato wpłynęła ona niekorzystnie na rozwój nowszej poezji. W ustach ludzi zmieniała się greczyzna ustawicznie, ale uczeni patrząc na niedościgłe jej wzory starożytne, zawsze ją w jednakowej chcieli zachować czystości. Urzędowym językiem państwa bizatyńskiego była starogreczyzna, chociaż lud jej wcale nie rozumiał. Kościół pisał swe księgi w starym języku właśnie dlatego, że on stał się

już martwym, a wszelkie usiłowania, aby go ożywić, spełzły na niczem, razem z upadkiem Konstantynopola w r. 1453.

Nowe czasy przyszły — wiekowa niewola— o język klasyczny nikt nie dbał, a lud grecki swe bole i troski spiewał już w nowym języku.

Powstała ludowa poezja grecka — bardzo bogata. Fauriel, Passów, Legrand zbierali ją, Goethe i Heyse to i owo przetłumaczyli. — Na Krecie, gdzie Wenecjanie złagodzili nieco ucisk, powstała poezja pisana. W siedmnastym wieku wyśpiewał Wincenty Kornaros swój „Erotokritos“ poemat romantyczny i w. i.

Aż wreszcie, po trzech i pół wiekach, Grecja wyzwoliła się z pod jarzma niewoli. Rigas, jego pieśni i śmierć bohaterska wznieciły zapał wolności, Christopulos i Vilaras spiewali w języku ludu, ale usiłowania, aby grecki język klasyczny zjednoczyć z nowym, trwały dalej, chociaż bezskutecznie.

Nowogreczyzna tymczasem doskonaliła się coraz bardziej, oczekując mistrza, któryby zrobił dla niej to, co Alighieri dla języka włoskiego. I urodził się mistrz taki w osobie Solomosa z Zacynthu w r. 1798.

Dzisiejsze Zante pozostało zawsze jeszcze starożytnem *nemorosa Zacynthos*, najweselszą wyspą Hellady. Pieśń dźwięczy tam wszędzie, wieśniacy wierszami się pozdrawiają nieledwie, toż nie dziw, że tam się urodził poeta, co całą nową Grecję za serce uchwycił.

Solomos, syn hrabskiej rodziny, we Włoszech się piękna nauczył i sztuki, a Monti, Toscolo, Manzoni, taki nań wpływ wywierali przemożny, że sam początkowo pisać począł po włosku, nawet wtedy, gdy już napowrót do swojej przyszedł ojczyzny (r. 1813).

Ale wnet zapragnął on „te same spiewać pieśni, co Pindar“, zdawać mu się poczęło, że „z całej krainy greckiej, od wszystkich drzew, strumyków i skał, słyszy święte wiersze Homera“ i począł się zapytywać sam siebie, „czy ślepy poeta uzna ten jego nowy głos sztuki“. Śpiewał więc, to boleść matki, której piorun dwu synów zabił, to „śmierć sieroty“, „śmierć pasterza“, a także i wiersze „Blondina“, „Euricome“ do tej epoki jego twórczości należą.

W tym czasie (r. 1821) wybuchła wojna o niepodległość. Wyspy jońskie, które pod protektoratem Anglji zażywały spokoju, w tej walce nierównej udziału nie brały. Ale wyspa Zante, leżąca najbliżej teatru wojny, stała się schroniskiem dla rannych i swoich synów wysyłała na bój o wolność. Spirydjon Trikupis, który stał się później historykiem rewolucji, przyjechał na Zante i tu zawarł znajomość z Solomosem, który, pod wpływem wypadków, napisał wspaniały swój hymn do wolności. Trikupis kopje jego zabrał ze sobą do Missolonghi, chcąc go pokazać lordowi Byronowi, ale nie zastał go już przy życiu.

„Hymn do wolności“, jest pierwszym prawdziwie pięknym owocem myśli greckiej, po dwudziestu wiekach marazmu“, tak powiada mistrz Jakób Polylas, a uczeń naszego poety i pierwszy wydawca jego dzieł. „Hymn do wolności“ drukowany był w Missolonghi wśród grzmotu armat i karabinów i natychmiast się wśród walczących wojsk greckich powszechnie przyjął (r. 1828).

„Znam cię, o wolności! — śpiewa poeta — z błyszczącego miecza, z twardego wzroku Hellenów ty wybiegasz! Znam ciebie, któraś cierpliwie wieki czekała, skrwawione swe dłonie wyciągałaś po jałmużnę do obcych; a przecież później przyszłaś wspierać odwagę walczących, gardzić potęgą prześladowców, chodzisz ty, o wolności wśród, nas, każdy krok twój krwi ślady po sobie zostawia“.

Opisuje dalej poeta oblężenie Tripoli przez Greków, walki pod Koryntem, piękne dni w Missolonghi; „rzeka Achelous płynie po trupach wrogów, na których przekleństwo niech spadnie na wieki. Ze siostrą Aarona opiewają wolność piękne dziewice, tę wolność, co ani na lądzie, ani na morzu zgnieść się nie da“. A pośród opisu śmierci walecznych, co koniec swój w falach morskich znaleźli, przypomina sobie powieszonego patrjarchę greckiego, którego martwe ciało w nurty Bosforu wrzucone zostało (1821). Cień męczennika Greków do walki wzywa, a obcym królom ucisk krzyża wskazuje. Poemacik ten, do którego Mantzaros dorobił muzykę, stał się hymnem narodowym Grecji, aż po dzień dzisiejszy.

Śmierć lorda Byrona w Missolonghi (1824) natchnęła Solomosa do drugiego hymnu. — Zniszczenie i pożar Psary (1825) przez Turków napełniły duszę jego boleścią, niby Simonides starożytny, uwieńczył w epigramie waleczność nieszczęśliwej wyspy.

„Glorja płynie samotna po wyżynach Psary, płacząc nad poległymi bohaterami, a na jej głowie wieniec uwity z traw uschłych, co same jedne na tej pustyni zostały“.*)

Największe dzieło Solomosa ,,Lambros“, pozostało fragmentem tylko. Waleczny, ale nie poskromniony człowiek Lambros, uwiódł Marję, córkę kapłana i czworo dzieci, z tego związku pochodzących, umieścił w domu podrzutków. Piętnaście lat opłakiwała Marja swój wstyd i utratę dzieci.

Lambros walczył zwycięsko przeciwko Ali Paszy, ale raz dostał się w zasadzkę, gdzie mu pewna groziła zguba. W największej potrzebie uratował go nieznany młodzieniec, który mu w czas doniósł o niebezpieczeństwie. W młodzieńcu tym odkrywa później młodą Turczynkę, która zapałała ku niemu namiętną miłością i uzyskała wzajemność. Razu pewnego jednak zobaczył on ze strachem na szyji i rękach dziewczyny tajemne znaki, które sam swojej córce zaraz po urodzinach uczynił...

— Na morzu znaleźli się Lambros i dziewczyna, na okręcie. Ona siedzi zdala od ojca swojego, ukrywszy twarz w zwojach włosów. Wtem Lambros słyszy upadek ciała, to córka jego rzuciła się w morze, a on nieruchomy pozwala jej zginąć bez ratunku.

— Tej samej nocy czeka Marja Lambrosa u okna i śpiewa pieśni żałobne, mimo, że to właśnie Wielkanoc. Wtem nadchodzi Lambros i wyjawia jej całą straszną prawdę. Oboje uciekają do kościoła. Marja modli się, ale Lambros pociechy w modlitwie znaleźć nie może. Pojawiają się cienie trzech synów jego i chcą go ucałować. Marja traci zmysły i w obłąkaniu ciągle go prosi, aby ją uczynił prawowitą swoją małżonką. Lambros jej to przyrzeka, ale nie mogąc wyrzutów sumienia poskromić, rzuca się w morze, tam, gdzie się utopiła jego córka. Szalona, która idzie w jego ślady, wierzy, że w morzu, gdzie się niebo i drzewa odzwierciedlają, lepszy znajdzie żywot, niż tu na ziemi.

Również fragmentem, chociaż wspaniałym, pozostał epicki poemat o obronie Missolonghi (r. 1826). Solomos przeżył to pamiętne oblężenie niedaleko od Missolonghi, a jakie ono na nim wrażenie robiło, czytać można, choćby z tych wierszy:

„W tych dniach trzęsła się cała wyspa Zante dniem i nocą od grzmotu armat; i kobiety, które przyszły z Missolonghi, szukały wszędzie mężów swoich, ale napróżno, bo oni z Turkami walczyli. A były to szlachetne damy, które wiele trzód i wiele służby posiadały, i teraz zmuszone były żebrać. Z początku czekały one słońca zachodu, aby ręce wyciągać, ale gdy ich nędza jeszcze większą się stała, dnia się już nie wstydziły. Aż wreszcie znużone, na brzegu morskim siadały, głowy do góry wznosiły, słuchając z obawą, czy Missolonghi nie pada. A ze wszystkich stron otrzymywały one wsparcie i pieniądze i szarpje dla rannych. Nikt im odmówić nie mógł, bo ich prośbom bardzo często strzały armatnie towarzyszyły i najbiedniejsi kładli swe grosze i żegnali się, a patrząc w stronę Missolonghi, płakali wołając: „trzymaj się, trzymaj, biedne Missolonghi“.

W ostatnich latach nie mógł Solomos więcej pracować z powodu choroby. Umarł w r. 1857 na Corfu. Izba deputowanych państwa jońskiego w dniu skonu jego obrady swoje przerwała, w dniu jego pogrzebu wszystkie sklepy były zamknięte. W trzy lata później śmiertelne reszki Solomosa przewieziono na Zante i pochowano na głównym placu miasta, a w setną rocznicę urodzin wystawiła mu pomnik Hellada cała oswobodzona i ta.... jeszcze nie wolna.

Fr. Jaw.

*) Przy sposobności odsłonięcia pomnika Solomosa na wyspie Zante, uczciła poetę wyspa Psara przysłaniem wieńca, uwitego z traw, na jej gruntach rosnących.

17)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Okrągła forma wogóle jest niezmiernie cenioną u ludów pierwotnych, a pierwszorzędna jej rola w kulcie nietylko w świątyniach swój ślad pozostawiła. — Później przy sposobności omawiania „koszowych“ mieszkań i ziemianek, pokażemy ścisły związek, jaki istnieje u nas pomiędzy słowem „cerkiew, Krok, cerkwiszcze Kyrke, krąg i t. d., a kolistością pierwotnych świątyń. Na tem miejscu zwrócimy jedynie uwagę na kształt „monet“, które, sięgając bardzo odległej przeszłości, są tem samem w przeważnej swojej ilości okrągłe. W koło pleciony wieniec, „Corona“, staje się symbolem godności królewskiej. Koło, na cztery części przedzielone, zjawia się na urnach słowiańskich w północno-środkowej Europie i zupełnie podobna ozdoba istnieje na urnach etruskich, o 1000 lat wcześniejszych. (Virchow). Ozdoby te znajdują się na tak zwanych monetach wendyjskich i na brakteatach pierwszych Piastów w Polsce, w tymże samym kształcie. — Thietmar (V. 6.) wspomina o tem, że Mieszko, król polski, nie ważył się wobec Hodona, markgrafa ukazywać się w krążynie (Crosina), to jest w kołnierzu okrągłym, futrzanym, bogatym, ozdobie niezawisłych książąt w Zachodniej Słowiańszczyźnie. — Szczególne poszanowanie okrągłych i kulistych form istnieje do dziś u polskiego ludu. Pan Udziela, doskonały badacz zwyczajów ludowych, pisze w pracy o nagłówku „O poczuciu piękna u ludu, z okolic ropczyckiego w Galicji: „Kształty okrągłe i kuliste są ulubione. Bryły płaskie nie podobają się tutaj. Czworoboczny kształt mają tylko te sprzęty, które dają się najłatwiej zbijać w czworoboki, jak: łóżka, ławy, stoły, ramy do obrazów, ale nie są to kształty upodobane. Natomiast, chcąc coś przyozdobić, pięknem uczynić, daje się temu kształt pulchny. I tak poduszki na łóżkach układa się, żeby się wzdymały, dziewczęta biorą najwięcej spódnic, żeby wyglądać w biodrach jak najpulchniej, wieńce są półkolami, na pisankach rysują figury okrągłe, „bułki chleba“ są również prawie kuliste“ („Wisła“, tom III., str. 20).

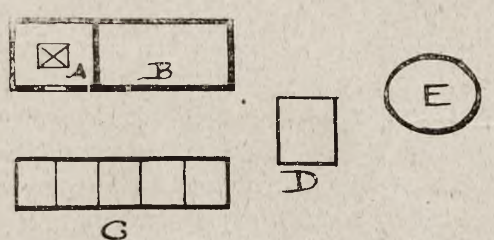
Mimowoli łączy się w umyśle to odznaczenie „kulistości“ i „kolistości“ w ropczyckiej estetyce z wyrazem greckim „*kalos*“ piękny, co u „Homera oznacza pewne cielesne właściwości“. (Pappée. Deutsch. griech. Wörterbuch, str. 1198), a jednocześnie w słowie „*kalindeo*“, walcować, doskonale odbija „na sobie bliskie pokrewieństwo z kolistością. — Pewną też „cielesną właściwość stanowią... biodra u słynnego posągu „Wenus *kalypygos*“ — Wenus piękno-biodrej, o której też zupełnie, jak o pięknej Ropczyczance powiedzieć można też jako „o kulisto-biodrej“ — Sercem okrągłego namiotu jest ognisko, które długo, mimo przemiany okrągłego namiotu, lub kosza na czworoboczny budynek, urodzony z palowej drzewnej konstrukcji, zatrzymuje swoje czysto środkowe w izbie położenie. — Świątynie Rzymu, Grecji i Germanji oddają środek budynku, owo miejsce przecięcia obu przekątni pod ognisko, to jest ołtarz świątyni. — Sercem domu mieszkalnego Grecji jest również ołtarz w środku „podwórza“ (aulos), będącego jednak rozszerzonym jedynie, dawnym szczytowym dymnikiem namiotu. Podobnie też rzymski dom rozwinął „dymnik“ namiotowy i źródło światła jednocześnie, na podwórzec, w koło dachem pulpitowym otoczony (atrium). Jeszcze bazyliki starochrześcijańskie zachowują ten starożytny układ ołtarza-ogniska, nim go późniejsze czasy ze środka kościoła przeniosą do chóru -- miejsca, które w namiocie Mongołów już dla bogów burchanów jest przeznaczone. Podeszwa, zachowana jeszcze w szczątkach starogermańskiej świątyni w Lundzie (Fr. Seesselberg. „Die altgermanische Kunst“) wskazuje wyraźnie na środkowe w przecięciu się przekątni położenie ołtarza. Zupełnie więc, jak w namiocie Kirgizów, mieszczą się bogowie Grecji, Germanji i Słowiańszczyzny w swoich świątyniach.

Przypominam, co mówi p. v. Stein, już cytowany w tej mierze. Mongołowie „we wnętrzu namiotu, na samym środku robią ognisko, na stronie przeciwnej wejścia ustawiają

bogów“ — Na stronie przeciwnej wejściu ustawiali bogów, jak to z zachowanych szczątków podwalin świątyń w Norwegji wynika, starzy Nomannowie. Ryciny w rozdziale, mówiącym o kształcie świątyń starosłowiańskich na Rugji, pokażą i, jak to z opisu dokonanego przez Saxona Grammatika (12 wiek) wynika, że i bogowie Słowian, jak naprzykład Trzygłowy Światłowed, również stali na stronie przeciwnej wejścia“ i bliżej tejże przeciwległej ściany“. — Edda skandynawska, mówiąc też o ognisku, na którem płonął „żywy“ z tarcia drzewem o drzewo powstały ogień, powiada co następuje: „Na środku podłogi powinien być ogień, kotły winny nad nim wisieć, winno się też pełne rogi nosić około ognia, urządzający ofiary winien pełności i całe jedzenie ofiarne błogosławić. Powinno się naprzód na cześć Odyna pić, potem na cześć królów i bohaterów (cyt u Seesselberga, Altgermanische kunst str. 66).

Nieoceniony, a tyle razy cytowany przez nas Al Bekri, opisuje łaźnie Słowian z X. stulecia: „Budują sobie dom z drzewa i zatykają szpary żywicą, zatem budują ognisko z kamienia i naprzeciw ogniska (w dachu) robią otwór dla wypuszczania dymu. Skoro ognisko się rozgrzeje, zatykają otwór“ (cyt. Łebińskiego — co Al Bekri wiedział o Słowianach). Światopełk, wedle kroniki czeskiej Kosmasa (str. 1108) usiadł w samym środku izby na ognisku.

Najstarsze chaty, które widział i rysował p. Zygmunt Gloger na Mazowszu i Polesiu nadnarwiańskiem, a których rys poziomy, podamy



A — izba z ogniskiem w pośrodku.
C — wspólne mieszkanie rodzinne.
D — komora.
E — okrągła koszara.

później w rozdziale o „drzewie“, mają ognisko — piec na środku całej chałupy, (Encyklop. polska, Tom I. Chata). Natomiast nie mogę się powstrzymać od dania rozkładu budynków gospodarczych ze wspólnoty rodzinnej południowo słowiańskiej. Znaczenie tych budowli polega nie tylko na tem, że to są mieszkania palowe, bo tę właściwość i jej znaczenie rozbierzemy w następnym rozdziale. Tu podkreślimy jedynie położenie ogniska w głównej chacie mieszkalnej, czysto środkowe, jak w namiocie, jakoteż kształt koszary dla owiec. Koszara ta kształtem okrągłym swoim według prawa przez nas wykreślonego, winna przedstawiać w sobie przypomnienie dawnego okrągłego namiotu, co się zresztą sprawdza w zupełności. Podobny objaw znajdziemy również w gospodarstwie pasterskiem Hucułów, gdzie koszary dla owiec, znowu zasadniczym rysem obwodu, przypomną kolibę, mieszkanie starszego typu, w gospodarce leśnej przechowanego do dziś. Tu i tam jeśli zespolimy wnętrzne położenie ogniska we właściwem mieszkaniu, jakiem jest u Hucułów staja, ze sylwetą zmarniałego na rzecz zwierząt dawnego typu mieszkalnego, otrzymamy namiot w swoim zasadniczym, tylekroć podkreślonym typie. Widzimy z obydwu rysów poziomych, jak w położeniu ogniska odzwierciedla się wpływ namiotu stepowego na układ mieszkań, już zupełnie w innych warunkach powstałych. Wiążą się te zjawiska zresztą z tem, że wnętrze mieszkania daleko silniej bywa wrośnięte w życie człowieka, niż zewnętrze budynku i dlatego odporniejszem staje się w przekształcaniu w ciągu wieków.

Podobnem bowiem zupełnie zdaje się być mieszkanie starych Greków. Z nielicznych wzmianek w Odysseji wynika również, że ognisko znajdowało się w pośrodku, przy niem siedzi wedle starego obyczaju królowa (Odys. 7. 135). Wokoło ścian ciągną się ławy (Od. 7. 95). Podłoga z ubitej ziemi (Od. 21, 120 ff). W nocy oświetla się izbę drzazgami smolnemi, jak u nas do dziś na Podhalu (Od. 18, 306 ff). Dym pokrywa powłoką kurną rozwieszone po ścianach bronie i ściany z sosnowych belek (Odys. 19, 38) i więzbę z wysokiego dachu. U szczytu otwór (jak u koleby huculskiej) służył za źródło światła i za dymnik, jak to było w pałacu Perdikkasa (Herodot VIII. 37) i w germańskiej halli. Ognisko również w starogermańskiej chacie stanowi właściwe jądro mieszkania. Główna sień chaty chłopskiej zwie się *Eren* i należy do jednego pnia z łacińskiem *ara* ognisko-ołtarz. Anglosasi nazywają słowem *ärn* cały dom, określając do-

datkami, jak: „*heal-ärn*“ halę, „*gäst-ärn*“ gościnnicę, „*medo-ärn*“ izbę pijacką, „*holm-ärn*“ dom na falach (okręt) (Grimm; Gram. II. 331). Inne określenie staroniemieckie sieni: „*Flet*“, „*flezzi*“, „*flazzi*“, mieści w sobie również ognisko na samym środku, przy którem przyjmuje się gości, jako w najdostojniejszem miejscu mieszkania. W „młodości Jezusa“, poemacie z XII. stulecia znajdujemy ustęp, gdzie autor opisuje, że we „Flecie“ koce i dywany układa się dookoła ogniska (zupełnie jak w namiocie Mongołów). (Cyt. u Henninga das deutsche Haus, str. 141).

Najstarszy przechowany typ chaty starogermańskiej w Skandynawji, tak opisuje wspomniany wyżej Henning: „Jeśli z przedsionka wejdziemy do wnętrza, to obaczymy izbę, która bez dalszego przedziału sięga od jednej nagiej, drewnianej ściany do drugiej, od podłogi do szczytu dachu. W środku podłogi mieści się poziome miejsce na ognisko, jedynie podłużnem ułożeniem kamieni ograniczone. Nad ogniskiem wisi duży kocioł na sznurze, który z obracalnego rusztowania się zwiesza. Dym wychodzi przez zamykający się otwór dachowy, który nietylko komin, ale i okna zastępuje tak, że światło dzienne nigdy półcieniu w izbie rozprószyć nie może. Otwór dymny znajduje się wprost nad ogniskiem, blisko grzbietowej belki na kalenicy i zwie się w Danji i Norwegji jeszcze dzisiaj Lyre albo Ljore tak, jak w najstarszych pomnikach literatury“. Wiel opisuje około roku 1050, jako ogólną regułę budownictwa w Halingdalen w następującej formie: „staropółnocny sposób budowania, szczególnie na wsi, obchodził się bez powały, a mieścił ognisko w środku izby, bez komina“ (cyt. z Henninga: „Das deutsche Haus“ str. 62 i 63). Opisy powyższe, zestawione z tem, co jako charakterystykę układu namiotowego budownictwa określiliśmy, uzasadniają w dalszym ciągu szereg naszych przypuszczeń.

Wszak taki ogień weselny w sercu chaty, jak w łonie matki, (veda) dymił jeszcze w chacie górala zakopiańskiego w przeszłym wieku na miejscu pyszniącej się dziś „gruby“. Niemiec Schultes, podróżnik po Galicyi z końcu 18. wieku, tak opowiada o wnętrzu chaty górali na Podhalu: „Ognisko jest w środku chaty, na około którego pełzały dzieci“ (Cudzoziemcy o Galicyi, Schnür-Pepłowski, str. 100). Szczątkiem tego środkowego stanowiska ognia jest palenisko w szałasie góralskim, wymoszczone na przecięciu się przekątni. Do dziś też, mimo względnego udoskonalenia, zachował piec piekarski swoje środkowe stanowisko w chacie Mazurów pruskich, której rys poziomy w rozdziale VI. będzie uwidoczniony.

C. d. n. *Kazimierz Mokłowski.*

Polacy w Ameryce.

W sam raz na czasie napisał p. M. Barszczewski szkic pod powyższym tytułem, a p. M. Arct w Warszawie wydał tę pracę, jako jeden z tomików „książek dla wszystkich“. W miarę, jak coraz więcej sroży się u nas nędza „galicyjska, wzrasta i prąd emigracyjny a wychodźtwo to masowe za pracą i chlebem, długo zwalczane lub ignorowane, zwraca obecnie u nas uwagę społeczeństwa. Nie tylko już oswoiliśmy się ze stałą u nas emigracją, ale poczynamy na nią patrzeć z innego stanowiska, uznając ją za nieuniknione następstwo przyczyn ekonomicznych, jak przeludnienie, rozdrobnienie gruntów, brak przemysłu i korzystnego zajęcia. Nawet z obozów konserwatywnych odzywają się znaczące głosy uznania dla emigracji, że dopomaga ona do uwolnienia ziemi chłopskiej z długów, a proces parcelacyjny skierowuje ją na drogę dla narodu pożyteczną, gdyż za dolary zarobione w Ameryce nabywa włościanin cząstkę ziemi, która w innych warunkach mogłaby popaść w ręce żywiołów dla narodu obcych, lub wrogich.

Wielu nie zaprzecza już także cywilizacyjnego i kulturalnego wpływu emigracji na nasz lud wieśniaczy. Przytoczyliśmy te znamienne głosy, świadczące o zwrocie opinji publicznej, w obszernych streszczeniach bądź w *Kurjerze*, bądź też w *Tygodniu*, że przypomnimy tu tylko „Maszkienice“, wydane przez krakowską Akademję Umiejetności i drugą monografję, wydaną nakładem Tow. Kółek rolniczych. Jednem słowem zwycięża zdanie, że nie należy wcale powstrzymywać sztucznie wychodźtwa, lecz je zorganizować porządnie, aby je uchronić od wyzysku, a dla sprawy narodowej jak najwięcej pożytecznem uczynić.

W takim nastroju opinji powszechnej brak było krótkiego, treściwego przeglądu dotychczasowej amerykańskiej emigracji, opowieści o przebiegu osadnictwa polskiego w Ameryce, o dawniejszym i o obecnym stanie wychodźców polskich o ich tam znaczeniu i o niebezpieczeństwach, które im grożą. Lukę tę wypełnia właśnie dziełko p. S. Barszczewskiego, napisane ze znajomością przedmiotu, gdyż autor przez ośm lat przebywał w Ameryce północnej i przyglądał się zbliska stosunkom Polonji amerykańskiej. Praca ta, napisana płynnie i przejrzyście, znajdzie się zapewne w rękach każdego, kto interesuje się sprawą emigracji. Tu więc tylko przytoczymy z niej, niektóre najważniejsze daty i uwagi.

Początki wychodźtwa polskiego do Stanów Zjednoczonych sięgają r. 1831, lecz znaczniejsza liczba polskich osadników pojawiła się w stanie Teksas dopiero w piątym dziesiątku ubiegłego stulecia. Przybysze polscy osiedlali się wtedy na roli, a kolonje przez nich założone dotąd przetrwały, zachowując charakter polski.

Później, w szóstym i siódmym dziesiątku lat ubiegłego wieku tłumniej napływać poczęli nasi wychodźcy na północny-wschód Stanów Zjednoczonych i rozrzucili osady w stanach Nowy York, Pensylwanja, Ohio, Indjana. Illinois, Michigan, Wisconsin. Po krótkiej przerwie w czasie wojny amerykanskiej ożywił się znowu prąd emigracyjny i zaludnił bezludne dotychczas obszary stanów Minnesoty, Dakoty północnej i południowej, Jawy, Nebraski, Kanzasu, Kolorado, Arkanzasu, Montany i Wyomingu.

Ogromny rozkwit przemysłu amerykańskiego i wielkie zapotrzebowanie robotników sprawiły, że wychodźtwo do Ameryki przybrało charakter masowy i już nie kierowało się na bezludne przestrzenie celem rolnego osadownictwa, lecz ku środowiskom fabrycznym.

Obecnie żyje w Ameryce przeszło $1\frac{1}{2}$ miljona Polaków, po największej części z W. Księstwa poznańskiego, mniej z Galicji, a najmniej z Królestwa Polskiego. Miasto Chicago liczy 150.000 Polaków, a ludność polska tworzy kilka osobnych dzielnic w tem mieście. jak Stanisławowo, Trójcowo, Wojciechowo, Kaźmierzowo, Tocon of Lako, Brigdeport, Józefatowo, Jadwigowo, Kantowo, Marjanowo, Avondale, South Chicago itd. Miasto Buffalo ma 40.000 polskiej ludności, Filadelfia i Milwaukee po 30.000, New-York 20.000, a przedmieście jego Brooklyn i Jersey po 10.000 Polaków. Dalej mieszka Polaków w Baltimore, Pittsburg, Cleveland, Detroit, Toledo po 20.000, w St.-Louis, St.-Paul, Minneapolis, Duluth, Stevens-Ponit, Bay City Grand Rapids, South-Bend, Cincinatti, Indianopolis, Rochester, Boston i w innych miastach, po 5.000 do 19.000.

Stosunki zarobkowe są dobre. Lecz pod względem narodowym autor szkicu bardzo złe stawia horoskopy dla naszego wychoźtwa, wykazując, że w następnych generacjach, ludność polska skazana jest na szybkie zamerykanizowanie. Nie możemy obszernie tej sprawy omawiać i odsyłamy pod tym względem do książki p. Barszcewskiego. Zreasumujemy twierdzenia autora tylko w paru słowach. Nieprzyjaźnie pod względem narodowym działa na ludność polską. przedewszystkiem wyższość kultury amerykańskiej przy zupełnym braku wykształcenia naszych wychodźców, dalej wpływ duchowieństwa amerykańskiego, krzewiącego przez kościół anglikanizację emigrantów, rozbicie wśród duchowieństwa polskiego, brak inteligencji polskiej, brak należytej organizacji. Atoli nawet tak pessymistycznie patrzący autor odnosi obawy o przyszłość narodową prawie wyłącznie do wychodźców polskich z innych zaborów a emigrantów galicyjskich od nich zupełnie wyróżnia, podnosząc, że galicyjscy wychodźcy pobyt w Ameryce uważają za czasowy, i z największą oszczędnością, przy odmawianiu sobie najprymitywniejszych potrzeb, ciułają grosz na zakupno ziemi w „starym kraju“, podczas gdy rodacy z innych zaborów o powrocie do ojczyzny nie myślą i lgną do ziemi amerykańskiej.

Pod tym względem różni się zupełnie wychodźca galicyjski od wychodźcy i z innych zaborów. „Do Ameryki przybył tylko po to — powiada autor — by grosz zarobić. O nic więcej nie dba. Gdy więc wychodźcy z Poznańskiego lub Królestwa, zarabiając więcej, niż w Europie, więcej też na swe potrzeby wydają, dążąc do jakiego takiego komfortu, wychodźca z Galicji nie zmienia prawie sposobu życia, mieszka ciasno i brudno, pożywia się byłe czem, aby tylko jak najmniej wydać. Szczupłe są granice potrzeb umysłowych wychodźtwa polskiego w Ameryce, wychodźca galicyjski jednak i tych potrzeb nawet nie odczuwa. Dla niego obojętnem jest wszystko, co z wydatkiem choćby centa jest połączone. Nawet kościoła nie popiera tak, jak wychodźcy z Poznańskiego, Śląska i Królestwa. Nie rwie się też ani do polityki, ani do prowadzenia jakichkolwiek przedsiębiorstw lub interesów w obawie utracenia zarobionych pieniędzy. Wierzy tylko w swe silne ręce i spełnia niemi najcięższe, najgorzej płatne zajęcia bez szemrania, bo czuje, że i przy najgorzej płatnem zajęciu w Ameryce zarobi jeszcze pięć lub sześć razy więcej, niż w Galicji i tyleż oszczędzi“.

„Gdzież jednak wychodźca galicyjski zaoszczędzone pieniądze podziewa?“

„Odpowiedź na to pytanie jest właśnie jego stroną dodatnią. Oto najczęściej wysyła je lub wiezie po latach osobiście do kraju dla rodziny swej, lub dla zakupienia, a częściej wykupienia z rąk lichwiarskich ziemi, do której jest gorąco przywiązanym“.

Ten szczegół uspakaja narodowe obawy.

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Helena Ceyzingerówna. *Duchy-żórawie.* Fantazje i obrazki. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie.

Tomik, objętości 245 str., składa się z utworów — najogólniej wziąwszy — dwojakiego typu. Są to bądź czyste refleksje ducha, f a n t a z j e — jak je chce tytułować sama autorka — ubrane w mniej więcej realną formę, bądź też epizody, ze świata realnego wprawdzie, ale w przybraniu dziwnie fantastycznem, oderwanem, każącem niemal zapominać o tym realnym pierwiastku.

Wspólny tedy mianownik w utworach obu typów jeden — fantastyczność, ale fantastyczność w najlepszym stylu: uszlachetniona, przechodząca w jakieś dziwnie wzniosłe uduchowienie, miejscami tak obrane z wszelkiej materji, że wydaje się czemś nieziemskiem, tak lekkiem i nieuchwytnem, jak owe górne nadpowietrzne warstwy, zabarwiające delikatnym błękitem poranne niebo.

To rozbłękitnienie, eteryczność, są zasadniczym tonem wszystkich utworów, stanowią jakby podstawowe tło, na którem fantazja maluje delikatne, koronkowe kontury.

Drugą, bardziej jeszcze może znamienną cechą, stanowiącą jakby zapach, czy nastrój tych utworów, jest wspólny wszystkim smutek, napozór kościelnie cichy, rzadko przeradzający się w rwącą tęsknicę, ale nieutulony, wgryzający się żalem we wszystkie włókna nerwów.

„Duchy-żórawie“— autorka trafnie zatytułowała swój zbiorek! Łańcuch żórawi płynie w wyżynach wieczornego nieba i po krótkiej chwili ginie na wieki dla oka w mrokach oddalenia — duchy jej utworów dziwnie są podobne owym żórawiom.

Górne ich loty pociągają na chwilę skupione oczy ku niebu, zwolna zapadają w mrok zapomnienia, ustępując miejsca coraz to nowym, coraz innym, lecz żal po tych, które już uleciały, pozostaje, żal dziwnie nieokreślony, nie mający się o co zaczepić, ale nurtujący głęboko i rozlewnie w duszy.

Wacław Żmudzki.

*

Życie i marzenie. Powieść współczesna Józafata Nowińskiego. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Lwów 1902. (Pierwotnie w odcinku „Kurjera Lwowsk.“)

W osobie głównego bohatera powieści swej, Stefana Mireckiego, stworzył p. Nowiński postać, która ze względu na typowość swoją stanąć może obok Płaszowszowskiego, Podfilipskiego, Judyma i innych typów naszego społeczeństwa, odtworzonych przez współczesną powieść polską. Duchowo jest on najbardziej spokrew-

nionym z Płoszowskim, tylko, że Płoszowski jest arystokratą i nie zna braków materjalnych, Mirecki zaś pochodzi ze sfery średniej, a będąc wysoce niepraktycznym, nie może dojść do wyrobienia sobie jakiegoś stanowiska i cierpi ostatnią nieraz nędzę. Wspólnemi obu cechami są: brak woli i uleganie wszelkim mimolotnym wrażeniom, połączone z ciągłą samoanalizą, co sprawia, że odrywają się od życia realnego i żyją głównie wytworami własnej wyobraźni — marzeniem. Obaj wreszcie, nie mając dość siły do opanowania życia, i nie mogąc sobie dać z niem rady, kończą samobójstwem.

Poznajemy Mireckiego w chwili, kiedy udaje się do domu hrabstwa Jesiołowskich w charakterze nauczyciela dziewięcioletniego ich synka — i powieść całą wypełnia głównie opis udręczeń, jakie cierpi miłość własna Mireckiego w zetknięciu z arystokratycznymi chlebodawcami i odwiedzającymi ich gośćmi. Różne drobne uchybienia towarzyskie ze strony Jesiołowskich, rosnąc jeszcze w wyobraźni jego do przesadnie wielkich rozmiarów, usuwają mu z przed myśli główne, istotne cele życiowe, wyczerpują jego siły i wprawiają w stan ciągłego rozdrażnienia nerwowego. To stale wzrastające rozdrażnienie, do którego przyczynia się miłość dla bratanicy i wychowanki Jesiołowskich, Maryni, z którą — pomimo wzajemności i oświadczenia gotowości z jej strony — jego duma plebeusza nie dozwala mu się ożenić; wreszcie nędza, w jaką popadł po usunięciu się z domu Jesiołowskich, przyczem znów duma wstrzymuje go od udania się z prośbą o pomoc do rodziny, doprowadza go w końcu do samobójstwa.

Analizując każdy najdrobniejszy ruch swej myśli, każde najlżejsze drgnienie uczucia, nie widzi jednak Mirecki w sobie tej jednej rzeczy głównej, że jest on w gruncie takim samym niewolnikiem form i pozorów — skoro wznieść się nad nie nie może — jak i pogardzani przezeń za to hrabiowie. Tylko, że u niego jest to bardziej jeszcze potępienia godne, ponieważ on zdaje sobie sprawę z całej czczości i marności tych form i pozorów wobec istotnej treści życia, oni zaś pojąć i uznać tego nie są zdolni. Mimo to, niema jednak Mirecki dość siły, aby żyć tak, jak czuje i myśli. Wprawdzie starczy mu woli, by nie czynić nic złego, ale brak mu już woli, by konsekwentnie tworzyć dobro i żeby iść przebojem przez życie, urabiając je tak, aby stało na wysokości jego duszy.

Przyczyny szukać należy nie w okolicznościach zewnętrznych, lecz w duszach tych ludzi. Przyczyną jest najczęściej choroba woli, połączona z chorobliwą, nieopanowaną przez rozum wrażliwością myśli i uczucia, rozpraszającą się bezużytecznie na drobiazgi. Gdyby one skierować się mogły ku przedmiotom podnioślejszym, ująć w dążenia do celów wielkich, jakich nie brak narodowi naszemu, toby to niezawodnie uzdrowiło i wzmocniło te chore dusze, jak czyste górskie powietrze uzdrawia i wzmacnia chore płuca, dając im zarazem możność szerokiego i pełnego oddechu.

Ir. Jaw.

PISMA. Dawniejszy tygodnik p. t.: *Magazin für Litteratur des In- und Auslandes*, wychodzący w Lipsku, przekształcony na *Magazin für Litteratur, Vereinsorgan der freien litterarischen Gesellscchaft zu Berlin*, pomieścił w ostatnich zeszytach nieco miejsca rzeczom polskim. Z najnowszej beletrystyki mamy tu przekłady poezji Tetmajera i nowel Niedźwiedzkiego. Ze studjów literackich wyróżnia się charakterystyka Sienkiewicza z młodzieńczej doby jego twórczości, skreślona piórem Dra Ernesta Łunińskiego. Stawia on Sienkiewicza na czoło literatury, jako twórcę współczesnej noweli polskiej, w której po raz pierwszy znalazły wyraz wielkie namiętności, skłębione w piersiach szarego tłumu. Ze wszystkich jego utworów ceni najwyżej „Szkice węglem“. Oto, jak rozwija Łuniński dzieje powstania i zasadniczą myśl tych „Szkiców“. „Po powstaniu styczniowem, młodzi pozytywiści, oszołomieni hasłem pracy organicznej, z trudnością odnajdowali drogę do ludu. Chłop nie budził podówczas żywszego interesu. Szlachta, ofiarą krwi i mienia, niemniej uciskiem gnębicieli doprowadzona do ruiny, goniła resztkami. Lud, po wiekowej niewoli uwłaszczony, nie czuł się wolnym i, jak dziecko, zaczynające o własnych nogach chodzić, chwiał się i padał w ramiona takich kreatur, jak właściciele karczem lub pisarze gminni. „Szkice węglem“ są we krwi maczaną satyrą na owe stosunki wiejskie. Przedstawiają one walkę dwu gatunków głupoty: przewrotnej i energicznej, uosobionej w łotrze Zołzikiewiczu, apatycznej i bezbronnej, upostaciowanej w poczciwej Rzepisze“. Subtelną charakterystyką tych figur kończy Dr. Łuniński swoje piękne studjum o młodzieńczych utworach Sienkiewicza.

H. B.

SZTUKA. *Fotografja artystyczna.* Określenie to zawierało w sobie do niedawna jeszcze, a dla niektórych i dotąd jeszcze zawiera „contradictionem in adiecto“. Ale ostatnie lata nadzwyczajnie szybkiego rozwoju tej tak rozpowszechnionej sztuki reprodukcyjnej, zadały w wysokim stopniu kłam mniemaniu, jakoby fotografja nie mogła być traktowaną na serjo artystycznie. Prawda, że jest to w istocie swojej mechaniczny środek odtwarzania, że, dając jeden moment życia, daje go zawsze w oderwaniu od tego, co było przedtem i co ma być potem (stąd pochodzi komizm figur biegnących ludzi), podczas, gdy u dobrego artysty dobroć ruchu w obrazie polega na tem, że dany moment tłómaczy się zawsze, jako jeden z kompleksów żywego łańcucha ruchu, że odczuwa go się bezwiednie, jako następstwo tego, co go poprzedziło, a źródło tego, co po nim bezpośrednio nastąpi. Przytem nie ma w fotografji rozłożenia nacisku na rzeczy mniej lub więcej ważne, a pod względem perspektywy przedstawia się na fotografji rzecz także nieco inaczej, niż dla ludzkiego oka, które nie ma tak nieruchomego punktu widzenia itd. itd. Ale poza tem daje fotografja przecież wiele pola do działania, jeżeli się nią tylko zajmie na serjo artysta.

W naszem mieście mamy żywy przykład tego na artyście p. Antonim Köhlerze. Otworzył on przy pl. Fredry l. 1 zakład fotograficzny, opatrzył go wszystkiemi najnowszymi zdobyczami technicznemi w tym rodzaju sztuki re-

produkcyjnej i, choć zakład jego jest jeszcze młody, przecież można już z tego, co dotychczas wykonał, pouczyć się, gdzie i na czem w fotografji może się zaznaczyć artysta.

Weźmy więc np. najbardziej rozpowszechniony jej rodzaj, tj. fotografję-portret. Przedewszystkiem umie p. Köhler osobę do fotografji ustawić, t. zn. tak, żeby najlepiej wychodziły charakterystyczne jej cechy, na których rozpoznanie już potrzeba artysty. Jego modele nie pozują wcale, albo przynajmniej o wiele mniej, niż na fotografjach, których wykonawcy nie umieją ustawienia zastosować do każdej postaci z osobna, i stwarzają sobie szablon — pozę. Następnie wie, jakie zastosować światło pod względem siły i kierunku, aby np. jedna twarz nie wyszła grubo i biało, a w drugiej ostre linje światłocienia nie pokrajały jej ze szkodą rysów charakterystycznych. Tu, jak w t. zw. retuszowaniu fotografji rozstrzyga u p. Köhlera tylko tendencja wydobycia prawdy gubiącej się nieraz w starciu żywego organizmu z działaniem martwego mechanizmu, oraz chęć wyrównania różnic z tego wynikłych, między modelem, a jego wizerunkiem, nie zaś, jak zazwyczaj, staranie, żeby osoba i fotografja „wyglądały ładnie“.

To też spojrzawszy na fotografje p. Köhlera, widzi się zaraz skutki tego odmiennego traktowania. Głowy artystów i literatów, wykonane przezeń fotograficznie, mają przeważnie (niektóre osoby, szczególniej panie, nie są zdolne do wyemancypowania się z pod żądzy kokietowania, t. zw. „zrobieniem“ przyjemnej albo mądrej twarzy do fotografji) naturalny wyraz, modelują się doskonale, pozbawione są twardych białości, a ton, o ile on się da w jednym kolorze wydobyć, uwydatniają tak, że różnicę materjału, np. ciała, szklistej materji oka, jakości włosów, sukni — widzi się nietylko drogą domysłu dzięki rysunkowi, lecz w samym tonie, każdej plamy świetlnej. Przy tem nie ma w tych fotografjach ohydnego często poprawiania natury przez retuszowanie, robienie ładniejszych nosów, węższych ust, większych oczu itp., oraz przykrego wymuskiwania zdjęć fotograficznych. Chcą one być ładne prawdą, a nieprzystosowaniem się do formuł banalnego piękna.

W końcu jeszcze jedno. P. Köhler, umie np. sobie sam malować tła do fotografi i maluje je z natury, a wiedząc, jak działa malowany pejsaż na fotografji, umie je traktować tak, żeby robiły te tła wrażenie pejsażów z natury. Dzięki temu, prawda, jego fotografji występuje jeszcze silniej.

Jeżeli do tego wszystkiego uwzględni się udoskonalenia i wynalazki współczesnej sztuki fotograficznej, oraz korzystne warunki, jak: wygodne, nawet z komfortem urządzone ateljer, o bardzo dobrem świetle i wielkiej łatwości aplikowania go wedle potrzeby, to można zrozumieć powodzenie nowego zakładu. Kieruje nim artysta, tj. człowiek obdarzony wyższem poczuciem prawdy, niż zwyczajny mechanik — w tem sekret. *St. W.*



NOTATKI. *Opisanie osoby Ludwika Kossutha.* W chwili, gdy całe Węgry obchodzą uroczyście setną rocznicę urodzin Kossutha, nie od rzeczy będzie przypomnieć list gończy, rozesłany po stłumieniu rewolucji przez rząd austrjacki na wszystkie strony w pogoni za zbiegiem, który był już bezpieczny na ziemi tureckiej. Między innymi rozesłano taki „Opis osoby Ludwika Kossuth“ i w języku polskim po Galicji. Według rysopisu tam zawartego, wyglądał Kossuth, jak następuje:

G. Z.

Opis osoby

Ludwika Kossuth.

Wiek, 45 lat.
Miejsce urodzenia, Jasberin w Węgrzech.
Stan, żonaty.
Wyznanie, akatolickie.
Mówi po niemiecku, po węgiersku, po łacinie, po słowacku i po francusku.
Zatrudnienie czyli stopień, Adwokat i Dziennikarz, nakoniec Prezes Komitetu obrony krajowéj.
Budowa ciała, średnia, szczupła.
Twarz, okrągła, dosyć pełna.
Cera twarzy, brunatna.
Czoło, wysokie, otwarte.
Włosy, czarne.
Oczy, niebieskie, wydatne
Brwi, wielkie i czarne.
Nos, płaski.
Usta, małe kształtne.
Zęby, kompletne.
Broda, okrągława.
Zarost faworytów i włosów, czarny.

Znaki szczególne:

Włosy z natury z przodu w loki układające się, które na wiérzchu głowy, aż do łysawości rzadkie są.

Ubiór:

Nie może być z dokładnością podany, zwykł szczególniéj używać ubioru prawego Koppeu. Ułożenie przyjemne i ujmujące.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8